

Remigiusz Sobański

„Nie wstydzę się nazywać ich braćmi swymi” (Hbr 2,11) : Chrześcijanina obraz człowieka

Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne 37/1, 168-173

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ks. REMIGIUSZ SOBAŃSKI

„NIE WSTYDZI SIĘ NAZYWAĆ ICH BRAĆMI SWYMI” (Hbr 2,11). (CHRZEŚCIJANINA OBRAZ CZŁOWIEKA)

Zdanie, które obrałem jako dewizę konferencji¹, wzięłem z listu do Hebrajczyków. Podmiotem tego zdania jest Jezus, o Nim pisze autor, że nie wstydzi się nazwać braćmi tych, którzy dzięki Jezusowi mają być uświęceni – czyli ludzi, wszystkich ludzi. Jeśli Jezus nazywa ludzi braćmi, to i wyznawcy Jezusa, chrześcijanie, powinni postrzegać ludzi jako braci. To teza mojego wykładu, którego precyzyjnie ujęty temat brzmi: Chrześcijanina obraz człowieka. Chodzi mi o obraz człowieka, z jakim chodzimy, który steruje naszym myśleniem, jest zawsze na podorędziu zarówno wtedy, gdy stykamy się z drugą osobą, jak też gdy wypowiadamy oceny ogólne o jakiejś grupie społecznej, obraz, który funkcjonuje jako trwała przesłanka naszego poglądu na świat (boć ten kształtujemy nie na podstawie wiedzy o gwiazdach, lecz wśród doświadczeń z ludźmi). Obraz człowieka jako pewna generalna kategoria myślowa. Szyk słów „Chrześcijanina obraz człowieka” dobrą świadomością, nie ma to być wykład o chrześcijańskim obrazie człowieka, lecz – jak napisano w programie – konferencja adwentowa, a więc refleksyjna.

Zacznę od przedwojennej anegdoty. W kasynie wojskowym ktoś rzuca pytanie: na co zda się kapelan w wojsku? Pada odpowiedź: Na to, by był ktoś, kto do żołnierza odezwie się „bracie”, a nie tylko i tu następują rzeczowniki z żargonu wojskowego, jakie może i nam już kiedyś obłyły się o uszy.

Brat, bracie... Bo dźwięk coś oznacza, oznacza wedle naszego uznania. Filozofia dziś przypisuje słowu charakter wydarzenia (co teologia zawsze już podkreślała – „na początku było Słowo”). Przez język człowiek odnosi się do rzeczywistości i wrasta w nią. Truizmem może wydawać się przypomnienie, że język to pierwsze narzędzie kształtowania kultury. A jeśli tak, to tym bardziej trzeba zaniepokoić się faktem, że nawet w parlamencie parlamentarność języka przestała być normą, a w mediach zdecydowanie skreślono estetykę spośród kryteriów doboru programów.

Brat, bracie... Bo dobór słów jest ważny. Psucie języka deprawuje człowieka. Po drugiej wojnie światowej sporządzono i opublikowano w Niemczech *Słownik nieczłowieka* (– potwora: *Wörterbuch des Unmenschen*). Odzwierciedla on spuściznę, jakie w umysłach i sercach ludzkich siało słownictwo używane przez propagandę nazistowską. Przypomniano² ów słownik w kontekście współczesnej technologii genetycznej, której fachowa mowa naszpikowana jest takimi zwrotami, jak „materiał genetyczny”, „linie komórkowe” czy „rygorystyczna kontro-

¹ Konferencja wygłoszona podczas adwentowego spotkania pracowników nauki i nauczycieli akademickich w Katowicach 14 XII 2002 r.

² F. K a m p h a u s, *Der Neue Mensch*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung” 2002, Nr. 276, 27 XI, s. 10.

la jakości”. Dobór słów, konsekwentne aplikowanie do niektórych osób czy grup społecznych nazw wyselekcjonowanych, wywołujących plastyczne skojarzenia, to nader skuteczne narzędzie socjotechniczne. Słowa tak użyte wcale nie oznaczają rzeczywistości, one ją tworzą, nie informują, lecz performują. Słownictwo łączy ludzi w zwarte grupy, ustawia fronty, a przede wszystkim wyznacza myślenie – dlatego te zwarte grupy są tak nieludzko jednomyślne.

I dlatego owa nazwa „brat” jest tak ważna. Jako forma myśli. Wtórnie dopiero chodzi o słowa, chodzi o sposób myślenia, by myśleć o bliźnim jako o bracie – i to w oryginalnym tego słowa znaczeniu. W znaczeniu bliskości – jak to chce się wyrazić w owych najściślejszych, nie opartych na więzach naturalnych wspólnotach, jakimi są zgromadzenia zakonne, których członkowie zwą się braćmi, siostrami, albo jak to wyraża się w charakterystyce bliskości pielęgniarki opiekującej się chorym – siostro!

Myśleć o ludziach jak o osobach bliskich... Pielęgniarka, współbrat zakonny, brat rodzony – tak, ale dlaczego innych nazywać braćmi? A ponadto: jeśli wszyscy nimi będą, to praktycznie nikt nim nie będzie, nazwa „brat” zostaje wyzuta z treści, traci swe znaczenie różnicujące. Wtedy łatwiej roztkliwiać się nad gło-dującymi w trzecim świecie, niż pogodzić się z sąsiadem, łatwiej wyprawiać się w świat na antyglobalistyczne demonstracje, niż zaangażować w sprawy własnej gminy. Dlatego scholastycy mówili o porządku miłości – *ordo caritatis* – porządek miłości praktykowanej wedle ludzkich możliwości: tylko ludzkich, a więc jakichś ograniczonych, ale porządek, z którego nikt nie zostaje wyjęty. Co znaczy, że treść tego, co obejmujemy nazwą „brat”, odnosimy do wszystkich ludzi. „Kolega”, „pan”, a nawet „obcokrajowiec” czy „obcy” w sensie niemieszkający na naszym osiedlu, pozostają w użyciu, ale właśnie jako tacy, także w tym ich charakterze, są oni naszymi braćmi. A wtedy zbędna okazuje się „poprawność polityczna”: „murzyn” czy „kapitalista” nie będzie brzmiało obraźliwie, podobnie jak nie będą formować naszej mentalności społecznej zaszłości historyczne ani jakiegokolwiek inne kryteria, które tak chętnie wymyślamy dla klasyfikowania ludzi – owej skłonności odziedziczonej przez nas wraz ze skutkami grzechu pierworodnego, po ludzku biorąc, nader zrozumiałej, skoro od czasów Kaina wiemy, że brat może być groźny, a siostra też może okazać się okrutna.

Dlatego też: aby nazwać bliźniego bratem, trzeba pokonać wahania i opory. Aby myśleć o nim jak o bracie, trzeba odwagi, a aby na nią się zdobyć, trzeba mieć ku temu racje.

Chrześcijanin te racje ma. Całe chrześcijaństwo i wszystko w chrześcijaństwie jest tą racją. Spotykamy się przed trzecią niedzielą adwentu, przypomnijmy przeto: Jezus Chrystus, Bóg w ludzkiej naturze, w ludzkiej skórze. Jezus Chrystus – widzialny obraz niewidzialnego Boga i zarazem pierwowzór człowieka. W Nim poznaję ludzi: każdy człowiek został stworzony na podobieństwo Boga – i jest podobieństwem Boga. Nie przez jakieś cechy przypadkowe, zewnętrzne, urodę, zdolności, osiągnięcia, poglądy polityczne, nawet nie przez religię. Przez człowieczeństwo. Nie przez własne doskonałości. Przez to, że jest, że został stworzony...

Przyjęcie tego punktu odniesienia wymaga pewnej samoświadomości religijnej – samoświadomości stworzenia boskiego. Aby widzieć w bliźnim brata, trzeba żywić uczucia braterskie. Aby widzieć w nim brata mimo odruchów niechęci, jakie prowokuje jego widok czy wspomnienie, trzeba być świadomym własnej także kondycji, nie tylko dostrzegać belkę w swoim oku, ale postrzegać siebie konkretnie, w swych życiowych uwarunkowaniach, jako podmiot sukcesów i porażek,

mający się doskonalić, ale przecież nie umiejący przeskoczyć własnego cienia. Jeden z tysięcy, milionów, miliardów. Chrześcijanin wie o odziedziczonych skazach, ale wie też o doznanej łasce nowego narodzenia w Chrystusie – chrześcijanin ma rację, by w bliźnich dostrzegać brata, bo do natury chrześcijanina należy, iż on czuje się bratem. Bo chrześcijanin to człowiek, który uwierzył Ewangelii i przyswoił sobie zawartą tam interpretację osoby ludzkiej, jej pochodzenia, sensu i powołania: Ojciec nasz niebieski i my wszyscy, Jego dzieci.

Interpretacja ta wprowadza nowe akcenty w historię ludzkości opisaną w Starym Testamencie. Mowa tam o przymierzu zawieranym przez Boga z Noem, Abrahamem, wreszcie poprzez Mojżesza z całym ludem. Bóg zawiera przymierze i określa jego warunki normatywne: „wy będziecie..., a ja w zamian”³. Człowiek partnerem Boga, bo tylko z partnerem zawiera się przymierze. Bóg potraktował człowieka jako partnera – trudno by było inaczej, skoro go stworzył na swoje podobieństwo. W owych aktach przymierza chodziło o uświadomienie i o kolejne przypomnienie ludziom, jak Bóg ich postrzega, co w sposób definitywny, przypieczętowany zostało objawione przez Jezusa Chrystusa.

To też nie przypadek, że chrześcijaństwo zapuszczało korzenie najpierw w krajach o wysokiej kulturze prawnej, a potem wraz z jego rozprzestrzenieniem się geograficznym przekazywało narodom również dziedzictwo prawne, z którym samo weszło w symbiozę. Bo prawo może funkcjonować tylko tam, gdzie drugiego traktuje się jako partnera, gdzie się go respektuje, gdzie interesy mogą być wprawdzie rozbieżne, ale gdzie żywe jest poczucie solidarności z innymi ludźmi. To nie bez kozery hasło rewolucji u początków nowożytności było trójczłonowe: wolność, równość, braterstwo. Bez trzeciego nie da się zrealizować dwóch pierwszych. Przykładów nie brak i nie może być inaczej, gdyż prawo jest strukturalnie podobne do miłości. My nie zawsze dostrzegamy to podobieństwo, co więcej, chcąc zachować spokój sumienia w tym świecie ograniczonych dóbr, akcentujemy raczej różnice i manipulujemy pojęciami miłości i sprawiedliwości (znane nam „teorie sprawiedliwości, choćby zmarłego niedawno John Rawlsa). Pojmując Kantowskie rozróżnienie legalności i moralności jako różnicę rzeczową, zacieramy strukturalne podobieństwo prawa i miłości, a sprawiedliwość – i to z przymiotnikiem, a więc przykrojona – staje się alibi pozwalającym odmówić niektórym tego, co należy się wszystkim bez wyjątku, mianowicie, uznania jako człowiek, jako osoba ludzka, jako podmiot mający prawo do istnienia we własnej tożsamości (przypomnę, że za najstarszą myśl prawną cywilizacji zachodniej uchodzi stwierdzenie Anaksymandra z Miletu – 600 przed Chr. – że z istnieniem wiąże się prawo do istnienia we własnej tożsamości). I prawo, i miłość opierają się na uznaniu innych osób – różnica w emocjonalnym komponente miłości wyrażającym się w zdaniu „dobrze, że jesteś, że ty jesteś”, które sensownie powiedzieć możemy tylko niektórym, podczas gdy z punktu widzenia prawa istotny jest fakt istnienia innych osób, z których każda, z którą w jakikolwiek sposób i z jakiegokolwiek racji się zetkniemy, jest tym samym dla nas faktem normatywnym. Chrześcijańskie „brat” ma przyporządkować obydwie te aspekty, normatywny i emocjonalny, aby bliźni byli nie tylko akceptowani przez nas jako równoprawni gracze na planszy wspólnej historii (a już broń Boże nie jako dopust Boży!), lecz jako istoty stworzone na obraz Boży i odkupione przez Jezusa Chrystusa i tym samym zasługują-

³ Wj 19,5; 23,22.

ce na coś więcej niż samo tylko uznanie kalkulacyjne. Faktem normatywnym jest dla nas nie tylko ten człowiek, z którym się stykamy, który może nam wchodzić w drogę, z którym musimy się liczyć. Takim faktem są też ci, których osobiście nie znamy, o których wypowiadamy się, używając pojęć etnicznych, kulturowych czy innych służących nam do porządkowania świata. Reakcje emocjonalne wywołuje nie tylko faktyczna konfrontacja z żywym człowiekiem, ale samo wspomnienie niektórych grup społecznych.

„Boże, który godność natury ludzkiej przedziwnie stworzyłeś, a jeszcze przedziwniej naprawiłeś” – modliliśmy się w tradycyjnej liturgii mszalnej. Stworzyłeś i naprawiłeś. Znaczy to, że człowiek zepsuł sam siebie, a Bóg naprawił. Teologia protestancka powiada *homo simul iustus et peccator* – sprawiedliwy i grzesznik zarazem, Kościół katolicki uczy, że za przyczyną Jezusa człowiek został wewnętrznie odnowiony, odzyskał na powrót dziecięstwo Boże i dzięki łasce Bożej może uczynkami miłości zapewnić sobie zbawienie. Zostawmy ten – zasadniczy – spór wyznaniowy, dla naszego tematu nie ma on większego znaczenia: żaden protestant nie może widzieć w człowieku jedynie grzesznika, lecz musi widzieć w nim zarazem grzesznika i sprawiedliwego. Zaś katolikowi nie wolno zapominać, że człowiek to istota upadła wprawdzie, która atoli w oczach Bożych okazała się warta odnowienia – cała nasza liturgia, od Bożego Narodzenia do Zesłania Ducha Świętego, to celebrowanie tego odnowienia i rozważanie ceny, za jaką się dokonało.

Bo też jest się z czego cieszyć. Bo to znaczy, że możliwości ludzkie są wprawdzie ograniczone, ale nie przekreślone. Bo to znaczy, że człowiek to istota, która może zawieść i nieraz zawodzi, ale to też istota, której może się udać. Można licytować się co do dzieł ludzkich udanych i chybionych, ale bez punktu odniesienia byłoby to jałowe. Boć dzieła, fakty doznają interpretacji, a ta może zohydzić każde ludzkie osiągnięcie, jak to na wyścigi czyni wielu u nas odnośnie do naszej historii po 1989 r. (jako kapłan katolicki mogę jedynie ubolewać, że niektórzy otrzymują w tym celu trybunę z katolickim logo). (Wczoraj wieczorem, ciekaw reakcji na polityczne wydarzenie dnia, spaceruję po stacjach nadawczych i słyszę, jak dzieciak chwali się wiedzą o 13 XII 1981 r. Ma tę wiedzę od babci, od której wie też, że ten stan wojenny trwa nadal. Prowadzący ani się zająknął, by tę wiedzę o świecie naprostować. To nie błędne spojrzenie na historię, boć przecież prowadzący żył w latach stanu wojennego. To błędne spojrzenie na człowieka). W świetle chrześcijańskiego spojrzenia na świat takie krakanie czy taka propaganda to po prostu grzech. Bo chrześcijaństwo to religia spośród wszystkich najbardziej afirmująca świat. Chrześcijański realizm to nie naiwność ani zapominanie o sile zła, ale chrześcijanin wie, że dzięki wyzwoleniu świata przez Jezusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego potęga złego została złamana. I ta prawda jest punktem odniesienia chrześcijańskiej interpretacji świata, wydarzeń, historii, czasów dawnych i bieżących.

Dlatego z gruntu niechrześcijańskie są wszystkie spiskowe teorie dziejów. Stoi za nimi autowizja człowieka bezsilnego, bezradnego wobec historii własnej i cudzej, wobec zła, zagrożeń przyrody czy klęsk doznawanych przez całe grupy społeczne, wobec wydarzeń odczuwanych jako niesprawiedliwe. W swej bezradności, a może i lenistwie ducha, myśli on, że skoro tak, to muszą być winni – musi być zawistny wróg, który się uwziął. Skutki teorii spiskowych to najczarniejsze karty historii Europy, pisane zawsze wtedy, gdy wyznawcy takich teorii zdobyli realną władzę. O rzesze zwolenników łatwo, bo tłumaczenie jest proste: to dzieło wroga,

z wrogiem trzeba walczyć, unicestwić go, a przynajmniej wysłać do kamieniołomów, jak to zdarza się słyszeć raz po raz w polskim dziś parlamencie.

Oczywiście nie wszyscy są wtedy postrzegani jako wrogowie, świat podzielony na swoich i „onych”. Ten szablon wroga da się dość dobrowolnie przesuwac. Trafia też na chrześcijan, np. za Nerona w Rzymie, na katolików jak – tak to здаje się wyglądać – dziś w Rosji, czasem bywa z wewnątrz chrześcijańską wzajemnością jak w Irlandii, trafi się żydom, masonom, liberałom, jezuitom, a wśród posłów obecnej kadencji są i tacy, co chętnie posługują się nazwą prywaciarz, co ma oznaczać „krwiopijca”. Marksistowska teoria walki klas zmodyfikowana na własny użytek grupowy. Wróg – jako kategoria myślowa, wróg przez sam fakt, że jest. A jako wróg musi być odrzucony.

A zarazem musi trwać, właśnie jako kategoria myślowa, narzędzie interpretacji świata. Stąd obsesja wroga, on jest tematem zawsze i ciągle, a klimat stale zatruty sączonym jadem: „trzeba państwu wiedzieć” – ulubiony zwrot jednej z aktywniejszych tropicielki spisków sterowanych – jakże inaczej – z zachodu!

W takiej interpretacji dziejów nie ma Boga, On tam nie odgrywa żadnej roli. Nie ma Boga, nie ma też brata, nie ma bliskości, poczucia wspólnoty, nawet wspólnoty losu, nie ma zaufania. Nie ma też nic z chrześcijaństwa. Bo chrześcijanin też dostrzega zło, cierpienie, łobuzerstwo i wie, że historia ludzkości to też historia krzywd wyrządzanych przez ludzi ludziom i losu, jaki sobie wzajemnie gotują, wie przecież o ukrzyżowaniu Syna Bożego. Ale właśnie dlatego należy do chrześcijańskiej misji i odwagi próba odkręcenia tej spirali. Tu punktem wyjściowym jest oparcie się pokusie polaryzowania ludzi i wzmacnianie zaimka „my” jako kategorii myślowej faktycznie obejmującej wszystkich, z którymi się stykamy, intencjonalnie zaś całą bez wyjątku ludzkość: nie muszę każdego zapraszać na imieniny, ale jako chrześcijanin muszę być otwarty na każdego. W tradycji biblijnej otwartość na bliźniego jest dowodem otwartości na Boga. W tej otwartości doświadcza się, sprawdza się człowiek. To otwarcie się, ta ciągła otwartość wymaga odwagi, zaufania, bo to akt kreatywnej wolności. To też próba partycypacji w miłości Boga. Skoro Bóg kocha nie tylko niektórych, lecz wszystkich, to udział w miłości Boga musi obejmować wszystkich i usiłować integrować ich w jedną rodzinę Bożą. Nie przypadkiem probierzem autentyczności charyzmatów jest to, czy służą scaleniu czy też dzieleniu ludzi. Chrześcijaństwo realizuje się – użyjmy tego języka – w otwartej integracji, ono jest otwartą integracją, a jest nią wtedy, gdy motywem i motorem działania jest uznanie drugiego jako bliźniego, jako brata.

Nie da się ukryć: także my, katolicy, potykamy się o podstawowe pytanie: dlaczego mam uznawać człowieka – i to nie wedle moich kryteriów, ale każdego.

Boć wielu, także spośród nas, wydaje się słuszne spostrzeżenie i założenie Hobbesa, że człowiek człowiekowi wilkiem. Myślę, że dla każdego, kto tak postrzega ludzi, jest to poważny problem – problem religijny, psychologiczny. Taki obraz wyznacza myślenie i zachowanie. Dla chrześcijanina obraz taki to groźna pokusa, bo kto brata ma za wroga, ten łatwo może mieć trudności z przyznaniem się do wspólnego Ojca. Gdy obraz taki zapuszcza rozgałęzione korzenie w świadomości, staje się on problemem społecznym, podgrzewa atmosferę, każe ustawiać fronty, sypać okopy, zawiązywać sojusze do walki z wrogiem. Daruję sobie przykłady, powiem pozytywnie: Jezusowe „błogosławieni pokój czyniący” (jak całe kazanie na Górze) zawiera cenne inspiracje dla życia chrześcijanina, a także – wbrew pozorom – dla programów politycznych. Zresztą: czy to się da roz-

dzielić? Chrześcijanin na moment nie rozstaje się ze swym obrazem człowieka, w domu, w polityce, w kościele. Ten człowiek może być przeciwnikiem, rywalem czy istotą wymagającą naszej surowej ingerencji, ale nie przestaje być bratem. Habermas, filozof niewierzący, napisał, że „Bóg to nazwa komunikacyjnej struktury”⁴. Teologowie zaakceptowali to zdanie w tym sensie, że wśród chrześcijan u tła ich komunikacji jest Bóg. On jest w tej komunikacji żywy. Postrzeganie drugiego człowieka jako brata to wkład chrześcijaństwa nie tylko w teorie komunikacji, lecz w naukę o człowieku. Nie zawsze łatwy do zaakceptowania, zwłaszcza praktycznego. Jest to wkład dyktowany wizją królestwa, królestwa zapowiadanego przez proroków, przez Jana Chrzciciela, w perspektywie czasów przyszłych wpisanych przez Jezusa Chrystusa w nasz czas. Izajasz, który nie znał takich pojęć, jak podmiotowość człowieka, opisał to po prostu (będziemy to słyszeli w pierwszym czytaniu mszalnym⁵): opatrywać rany, koić serca złamane, wyzwalać jeńców i więźniów. Nie różnicował – słusznie czy niesłusznie skazanych: wszystkich. Koić serca złamane! To coś wręcz przeciwnego niż owa maniera narzekania, nieufności, pomówień, w jaką wpada nasze społeczeństwo. Im obrzydliwsza potwarz, tym chętniej znajduje posłuch, na najbzdurniejszych zarzutach można zrobić karierę polityczną. Bo w bliźnim nie dostrzegamy brata. Może precyzyjniej: bo niektórych ludzi wyjmujemy spod nazwy bliźni, dyspensujemy się od obowiązku miłości, na myśl nam – chrześcijanom – nie przyjdzie nazwać ich braćmi. A potem narzekamy na niesprawiedliwość, która wtedy wszak od nas bierze początek, od zaprzeczenia (niektórym) nazwy „brat”. Usłyszymy u Izajasza: sprawiedliwość nie rozpleni się inaczej niż jako nasz zasiew. Należy doń też nasz, chrześcijański obraz człowieka. To, by w naszej odzywce do drugiego człowieka zawsze pobrzmiewało owo szczere „bracie”. A także byśmy nie ulegli pokusie myśleć o nikim inaczej niż o bliźnim. Który niewątpliwie bywa dla nas wyzwaniem.

⁴ Cytuje go i omawia krytycznie: T. R e n d t o r f f, *Gesellschaft ohne Religion? Theologische Aspekte einer sozialtheoretischen Kontroverse* (Luhmann/Habermas), München 1975, s. 75.

⁵ Iz 61,1–2a; 10–11.